

Wiedeń – Brody

Lubię tę rozmowę w *Kotce na gorącym blaszanym dachu* pomiędzy idealną pod każdym względem Elizabeth Taylor a trochę zbyt młodzieńczym Paulem Newmanem. On cierpi na ból nogi i duszy, więc pije, choć, nie ukrywajmy, każdy powód jest dobry dla tego, kto choć jeden raz przechylił zbyt mocno flaszkę. Pije zatem i rozpamiętuje, a ona chce ratować ich małżeństwo. Nagle podczas kłótni, głosem, jaki mają kobiety, kiedy same trochę upijają się swoim smutkiem, mówi stanowczo, ale z nutką rozpacz: „Dlaczego ty nie spaskudniejesz, nie roztyjesz się? Większość pijaków brzydnie z czasem, a ty z butelką wyglądasz nawet lepiej”. Ma rację, Newman z flaszką wygląda dobrze, nie tak może jak Bogart, ale o niebo lepiej niż pijany James Dean. Trudno bowiem znaleźć kogoś, komu z „alkoholem” do twarzy, choć wielu mężczyzn chciałoby usłyszeć taki komplement.

Na pewno z flaszką źle wyglądał Joseph Roth. Rozlany, przysadzisty, niezbyt przystojny, miał w sobie coś z ukraińskich chłopów, niemieckich intelektualistów i żydowskich wygnańców. Na zdjęciach widać wręcz pewną jego kobiecość, niepewność i skromność. Kiedy stoi albo siedzi, jest zwykle lekko przygarbiony, szyja ginie gdzieś pomiędzy podbródkiem a kołnierzem koszuli, oczy zaś nie wyrażają nic. Ma się wrażenie, jakby pod jego skórą płynęła rzeka zmieniająca kształt ciała, powodując ciągle

uczucie niedopasowania i powolnego rozpadu. Wszystko to wskazuje, iż po kilku głębszych stawał się niezbyt przystojny, wręcz obły i starczy. Jego ruchy musiały być wolne, oczy opadające, policzki zaczerwienione, a ciało z wolna ściągane ku ziemi bardziej alkoholem niż siłą grawitacji. Żadna kobieta nigdy nie powiedziała mu zapewne, że z butelką wygląda lepiej. Żadna kobieta nie powiedziała mu, że pijąc, staje się przystojniejszy. Kolejne sznapsy i koniaki dodawały mu tylko lat. Życie bezpowrotnie mijało i znikało w tej podróży bez końca. Każdy następny kieliszek potwierdzał tylko, że co raz się wydarzyło, cofnięte być nie może, co raz się stało, takie już będzie, przeszłości naprawić nie sposób. Próba odmiany losu nie przywróci młodości i piękna, żadne działanie nie okaże się zbawcze. Wszystko na nic. Picie okazywało się tylko próbą delirycznego powrotu do świata dawnego i – jak zawsze bywa z minionymi światami – idealnego w sensie spójności i dobrze pasujących do siebie elementów.

Roth, żyjąc, był załamany, pisząc, zbuntowany, pijąc, niepokodzony ze światem. Ostatecznie pozostawało mu tylko uczucie kaca, a więc klęski oraz tęsknoty za dniem poprzednim. Jednak wczoraj, co było mu wiadome, też wcale nie było udane, ostatnia noc nie miała uroku. Dlatego był on nieszczęśliwy, bo choć wewnętrznie złożony z wielu tradycji i na pozór spełniony, w ostatecznym rozrachunku okazywał się skazany na porażkę. Jak cesarstwo, któremu był wierny do końca na kartkach swoich ksiązek i w delirycznych snach... jak cesarstwo, które, upijając się swoim istnieniem, degenerowało się i paskudniało.

Roth pił z powodu utraty i pustki. Od najmłodszych lat – jak każdy z nas – tracił coś ważnego. Wpierw ojca, później rodzinną miejscowość, państwo, żonę, żył zatem bez poczucia oparcia i stałego punktu zaczepienia. Ciągłe był w ruchu, uciekał jak zaszczute zwierzę, a zarazem szukał

czegoś niczym smutny wędrowiec. Tym czymś należałoby nazwać sens, który ciągle umyka i przecieka przez palce. Odnajdujemy go tylko czasami, w krótkich migawkach życia, kiedy przechadzamy się po parku, całujemy ukochaną osobę albo gramy w karty lub idziemy spać. Namiastkę tego uczucia albo jego wzmożony, choć nieprawdziwy, wariant, odczuwamy też w momentach alkoholowego upojenia. Całość istnienia jest wówczas na tyle rozmazana, a szczególnie zaś wyrazisty, że gdziekolwiek spojrzymy, widzimy nurt czasu i jego kres. Jednak Roth nie żądał prostego powrotu tego, co minęło; zdawał sobie sprawę, że to marzenie nierealne, choć skądinąd wiadomo też, że pijacy, tak jak święci, lubują się w sprawach przegranych. On rozumiał bieg historii, nie mógł jednak zadomowić się w danej chwili. Był człowiekiem nienawidzącym teraźniejszości i musiał tęsknić za czymkolwiek. Równie dobrze jak monarchia Habsburgów mogło być to średniowieczne hrabstwo Tuluzy. Drażnili go ludzie, w przyszłości widział jedynie katastrofę, a we współczesności czuł się podle, w dodatku zagubiony. Im dłużej żył, tym stawał się smutniejszy, im dłużej pił, tym powiększał ogrom pustki, im – koniec końców – mniej trzeźwiał, tym stawał się bardziej zdezorientowany i opuszczony. Szamotał się zatem z rzeczywistością, próbował skierować swoje życie ku sensowi, ale gdziekolwiek stanął, w jakąkolwiek stronę ruszył, trafiał na ślepią uliczkę. Jednak musiał być ciągle w ruchu, choć wiedział dobrze, że nie ma dobrych zakończeń w świecie, w którym niepowodzenie i niespełnienie jest stałym doświadczeniem każdego człowieka. Szczególnie takiego, który uciekając w świat ze wschodniej Galicji, ciągle obserwował rozpad opuszczanych miejsc.

Do Stefana Zweiga pisał Roth takimi słowami: „Ja po prostu nie radzę sobie ze światem. Za dużo chcę. Od siebie – na polu literatury, od innych – w dziedzinie bycia człowiekiem. Nie pojmuję, dlaczego w ogóle dzieje się tyle zła,

a fakt, że to możliwe, czyni mnie co do ludzi podejrziwym. Przeczuwam zło i zdradę. Myślę, że rozumiem świat wtedy tylko, gdy piszę, a kiedy tylko odkładam pióro, jestem zgubiony. Alkohol nie jest przyczyną, lecz następstwem”.

Alkohol przyczyną jest tylko u tych, którzy cierpią na zbytek materii, natomiast następstwem u tych, którym nie brakuje uczuć (niezbyt to ważne jakich). Roth pił z braku miłości, z nienawiści, ciągłego gniewu i smutku. Był idealnym dzieckiem miejsca, w którym się urodził. Jego wnętrze składało się z rosyjskości, ukraińskości, żydowskości, polskości, całego tego harmidru rynków galicyjskich miasteczek, gdzie równie łatwo można było zostać obdarowanym, co oszukanym, a wrogość mieszała się z codziennością i przymusem życia, płodzenia, pracowania. Roth w tym sensie był obywatelem Cesarstwa Habsburgów – wieloetnicznego bytu skazanego prędzej czy później na zagładę.

Elżbieta Bawarska, zwana potocznie Sisi, chyba doskonale rozumiała tę skrywaną prawdę, że nic nie jest na zawsze, a wraz z każdym początkiem zaczyna się koniec. Nie musiała pić, aby znaleźć się poza czasem. Po pierwszych większych rozczarowaniach młodości, które zawsze są bolesne, niezależnie od tego, jak wyglądają, odpadła od historii i – ze względu na swój status i bogactwo – mogła żyć wśród ruin, grobów i poezji, jakby to była zwykła praca, a wskazówki zegara nie wykonywały pełnych obrotów. Wyrwana z bawarskich przestrzeni i wsadzona na cesarski dwór, choć na początku zapewne wzruszona i zaciekawiona swoją nową rolą, powoli odchodziła od „rzeczywistości”, jak źle położona farba odchodzi od ściany. Rok mijał za rokiem, a ona powoli przedstawiała być człowiekiem w sensie osadzenia w pewnej roli społecznej. Zaczęła raczej przypominać wędrowca, śpiewającego niezrozumiałe piosenki i żywiącego się tym, co dadzą

mu dobrzy ludzie. Obojętna na wiatr czy deszcz, robiła swoje, choć nikt nie byłby w stanie powiedzieć co. Po śmierci swojej pierwszej, dwuletniej, córki odkryła tę straszliwą i okrutną wiedzę, dostępną tylko tym, którzy przeżyli wielką stratę.

„Kto ci powiedział, że wolno się przyzwyczajać? / Kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze? / Czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy / w świecie / czuł się jak u siebie w domu?” – pisał Stanisław Barańczak. Wydaje się, że po matce odziedziczył to przekonanie również arcyksiążę Rudolf, który z kolei po ojcu miał przejąć władzę nad środkowo-europejską potęgą. Wolał jednak życie dziwkarza, niespełnionego artysty, neurastenika wyczerpującego swoje siły życiowe na kobiety i niepokoje egzystencjalne. Lubił, co prawda, sprawy polityki, pociągały go one, wydaje się nawet, że byłby dobrym cesarzem, ale wiedział, że życie nie jest warte tego, by je przeżyć, a królestwa, cesarstwa, monarchie i państwa równie łatwo pojawiają się, co znikają. Odnaleziono go zatem martwego w ramionach młodziutkiej kochanki, która również odebrała sobie życie. To podwójne samobójstwo, do dzisiaj owiane tajemniczą legendą, przybliżyło syna do matki. Sisi bowiem niespecjalnie interesowała się życiem Rudolfa, a jego śmierć poruszyła ją na tyle, że na nowo poczuła, że istnieje czas. Po tych wydarzeniach jednak z powrotem zaszyła się w swojej samotni i ostatecznie oddaliła się od ludzi. Do czasu, aż odnalazł ją Luigi Lucheni, włoski anarchista, i wbił jej ostrą stal prosto w serce, które choć dotąd pompowało krew, nie wydawało się skrywać w sobie jakiegokolwiek uczucia. Pustka istnienia Sisi została przerwana w Genewie, poza granicami jej cesarstwa. Ze Szwajcarii do Wiednia przewieziona została w specjalnym wagonie skonstruowanym w cztery dni w Sanockiej Fabryce Wagonów, czyli w Galicji, a ta wiadomość na pewno ucieszyłaby Josepha Rotha. Cesarzowa spoczęła w krypcie kapucynów, niedaleko Rudolfa. Powoli całe wielonarodowe i wieloetniczne państwo również

przestawało istnieć, bo wszystko, co ma swój początek, kiedyś się kończy, więc cały wysiłek ostatecznie wydaje się tylko niewiele wartym podrygiwaniem w miejscu. Sisi, Rudolf czy Franciszek Józef robili swoje – mniej czy bardziej ważne – sprawy.

Po śmierci Rudolfa cesarstwo pruło się coraz bardziej niczym stara koszula. Franciszek Józef nie miał więcej synów, więc następcą tronu został Franciszek Ferdynand, którego los dopełnił się w Sarajewie. Zanim jednak do tego doszło, nowy następcą cesarza również musiał przeżyć swoje upokorzenia i chwile upadków, które ostatecznie doprowadziły go do stolicy dzisiejszej Bośni, gdzie miał się zapoczątkować wielki rozpad starej Europy, aby na jej gruzach mogły powstać państwa narodowe w ich najgorszych odmianach. Konsekwencją tego stanu rzeczy było nie tylko zniszczenie Brodów, w których urodził się Joseph Roth, ale całej tradycji i kultury wschodnioeuropejskich Żydów. Rudolf, umierając w ramionach swojej kochanki, nie mógł przewidzieć, jak fatalny los zsyła na swojego kuzyna, a być może i na całą Europę. Jeden jego czyn pociągnął za sobą kolejne, nieszczęśliwy przypadek rozpoczął serię incydentów, które skończyły się w najgorszy z możliwych sposobów. Istnieje też możliwość, że odbierając sobie życie, w jakiś abstrakcyjny sposób chciał zniszczyć dzieło życia swojego ojca, co mu się faktycznie udało na wielu płaszczyznach i przyniosło – z jednej strony wyzwolenie wielu mniejszych narodów, ale z drugiej – ich powolne wykrwawianie się na polach bitewnych i w przydrożnych rowach w ciągu kilkunastu następnych lat.

Historia zna różne sposoby na uprzykrzenie życia milionom ludzi, którzy bez powodu giną, ponieważ linia dziejów nagle zaczyna zapadać się w ciemność za sprawą tak prozaicznej przyczyny, jak ludzka natura. Kwestia ta przedstawia się trochę inaczej, jeśli będziemy dopatrywać się w niej ciągu zdarzeń boskiego przeznaczenia, ale wtedy należałoby

uznać, że historia jest wytworem jakiegoś pomniejszego demiurga, chochlika lubiącego żarty, nonsens i zgrywy, który, na nieszczęście, ma moc sprawczą. Zanim Franciszek Ferdynand mógł objąć tron, musiał umrzeć jego ojciec, ale wprawdzie jeszcze Rudolf. Wszystko poszło zatem zgodnie z planem, historia potoczyła się tak, jak się potoczyć miała. Gavrilo Princip wystrzelił z pistoletu w centrum Sarajewa, wchodząc tym samym w nurt potoku dziejów, który przez cztery kolejne lata miał zatopić miliony ludzi, a następnie zniszczyć resztę Europy. Prócz następcy cesarskiego tronu zabił on również jego żonę – Zofię Chotek, zwykłą hrabiankę, w której Franciszek Ferdynand zakochał się całkowicie, jak to w takich sytuacjach bywa, przypadkowo. Dla niej prawie zrezygnował z dziedziczenia tronu, ale musiał się zgodzić na to, że ich wspólne dzieci nigdy nie będą mogły sprawować władzy nad Austro-Węgrami, co i tak by nie miało miejsca, ponieważ państwo było już tylko chwiejącym się starcem. Wystarczyły zaledwie dwa strzały oddane kilkaset kilometrów od Wiednia, aby efekt pracy setek tysięcy urzędników wypisujących swoje dokumenty przez dziesiątki lat okazał się niczym więcej, jak tylko chwilowym kaprysem historii. Absolutny chaos i absurd każdego życia prowadził wyłącznie do rozpadu. Sisi, wyrwaną z bawarskiej idylli, dzieje rzuciły wprawdzie w seans ciągłej utraty i przyglądania się przemijaniu, aż w końcu musiała być niemym świadkiem nie tylko samobójczej śmierci Rudolfa, ale również przyjąć własny przypadkowy koniec. Jedynie Franciszek Józef nadal groźnie doglądał swojego cesarstwa, ale widział już tylko widma i ciągły upadek. Córka, syn, żona, bratanek umierali bez powodu, jak muchy, które łapią się na lep. Jeden jego brat został zastrzelony w Meksyku, a drugi, Karol Ludwik (ojciec Franciszka Ferdynanda), kiedy był następcą tronu po śmierci Rudolfa, pojechał na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, napił się wody z Jordanu, po czym zmarł

na tyfus. Trudno czytać takie informacje i nie zastanowić się, jak bardzo nasza egzystencja jest przypadkowa – zarówno w ujęciu bieżącym, ale nade wszystko historycznym. Historia bowiem nie zna wytchnienia, ale nie preferuje wielkich wybuchów, lubuje się raczej w niepotrzebnych wypadkach, psotnych kawałach czy niezwykłych połączeniach różnych losów. Kieruje ludźmi poprzez ich pychę, egoizm, niechęć do uczenia się na błędach, wykorzystuje ich lekkomyślność, przekonanie o własnej wyższości oraz próżność.

W apokryficznej opowieści również Franciszek Józef był blisko śmierci podczas bitwy pod Solferino. Wojska austriackie zmierzyły się wtedy z armią Napoleona III. Po zażartych bojach, kiedy to tysiące żołnierzy zostało zabitych i rannych, zwyciężyli Francuzi. Wycofujący się Franciszek Józef miał spojrzeć przez lunetę, aby zlustrować stan swoich wojsk. Wtedy wrogi strzelec posłał w jego stronę pocisk, przed którym uchronił cesarza własnym ciałem Józef Trotta. Za ten bohaterski czyn jego rodzina na zawsze już musiała porzucić swój los słoweńskich chłopów, aby sięgać po zaszczyty w cesarstwie, a jego wnuk mógł swobodnie szukać śmierci na polach pierwszej wojny światowej. Historia dopadła ich i przemieliła na swój sposób, jak wielu innych obywateli Austro-Węgier. A Franciszek Józef żył nadal, żył wiele lat i widział aż zanadto jak na jednego człowieka. Śmierć dosięgła go w końcu w jego własnym łóżku. Jak pisze autor tego apokryfu, Joseph Roth: „Cesarz był człowiekiem bardzo starym. Był najstarszym cesarzem na świecie. Śmierć krążyła dokoła niego, coraz to bliżej, coraz to bliżej, i kosiła, kosiła. Już całe pole było zżęte i tylko cesarz stał jeszcze i czekał jak zapomniane, srebrne źdźbło. Jasnymi, twardymi oczyma patrzył od wielu lat zagubionym wzrokiem w zagubioną dal. Czaszka jego była łysa niby pustynny pagórek, bokobrody białe jak para śnieżnych skrzydeł. Zmarszczki na obliczu tworzyły splątany gąszcz, dziesiątki lat gnieździły się

w nim. Ciało miał wyschnięte, plecy lekko pochylone. Po domu dreptał drobnymi, starczymi kroczkami, ilekroć jednak wychodził na ulicę, usiłował napiąć mięśnie ud, sprężyć kolana, uczynić stopy lekkimi, a plecy prostymi. Oczy jego napełniała wówczas sztuczna dobroć – swoista właściwość oczu monarszych; zdawały się spoglądać na każdego, kto patrzył na cesarza, i witały każdego, kto mu się kłaniał. [...] Widział, jak w jego państwie słońce chyli się ku zachodowi, lecz nic nie mówił. Wiedział, że umrze jeszcze przed zachodem słońca. Niekiedy udawał nieświadomego i cieszył się, gdy mu objaśniano szczegółowo sprawy, które znał doskonale”. W końcu, przy okazji upadku swojego cesarstwa, mógł się spotkać z żoną, synem, córką, braćmi i bratankiem. Wszystko się skończyło, a nowe czasy nie zapowiadały niczego dobrego.

Joseph Roth urodził się na styku dwóch potęg europejskich, które miały niedługo skończyć swój żywot, a ich władcy umierali albo w swoim łóżku, obserwując rozpad tego, co przez lata budowali, albo byli rozstrzeliwani wraz z całą rodziną. Brody, które leżały jeszcze w Austro-Węgrzech, były oddalone od granicy carskiej Rosji o rzut beretem. Z dala zatem od wielkich centrów światowej polityki, na obrzeżach dwóch wielkich mocarstw leżało to miasteczko, gdzie historia rzadko zaglądała i nie czyniła większego spustoszenia. Ludzie żyli tam we wrogości i spokoju, jak to sąsiad z sąsiadem; Niemcy, Rusini (Ukraińcy), Żydzi i Polacy koegzystowali tam ze sobą, nie mieli zresztą większego wyboru. Ich przynależność państwową określały wojska, do których byli przymusowo wcielani lub z których dezertowali. Rodzili się tam święci i mordercy, którzy wiedzieli, w imię jakiego Boga zabijają, czy też, do kogo się modlą. Zakochiwali się i umierali, a świat istniał dalej, nadal należało obsiewać te